

Jerzy Ohnet.

Śmierć Bonapartemu!

16)

Na to stanowcze oświadczenie zaprotestował Fouché ruchem tak silnym, aż konsulowi głos się urwał. Bonaparte wpił uparcie wzrok w ministra, oczekując wytłumaczenia. Fouché milczał jednak, oczy spuścił, z wyrażeniem posłuszeństwa i oględności w zwierzeniach. Pierwszy konsul zwrócił się wówczas do grona obecnych:

— A zatem, obywatele, spodziewam się, iż wygotujecie należne postanowienia. Oczekujcie mnie na posiedzeniu Rady stanu. Nadejdę tam za chwilę.

Wyszli wówczas, a Bonaparte zbliżył się do Fouché'go, wciąż tajemniczo milczącego.

— Co znaczą wasze miny, ministrze?

— Chciałem w ten sposób powstrzymać generała od zdeklarowania zobowiązań, które nie dadzą się dotrzymać.

— A to dlaczego?

— Ponieważ rzeczywistość rozwieje wszystkie wasze przewidywania.

— Znacie sprawców zamachu?

— Znam głównego. I współników niebawem wykryjemy.

— Kto nim jest?

— Kawaler de Saint Régeant.

— Kolega Jerzego i Hyde de Neuville.

— Ten sam.

Bonapartemu stanął w myśli żywo ów młody, rzeźki, dumny Wandejczyk, z którym rozprawiał w Tuileryjskim salonie o przyszłości Francji. Słyszał głos gorący, energiczny, przemawiający w obronę monarchii. Wspaniałe zaiste żołnierz, którego byłby chętnie postawił na czele pułku, a w dniu bitwy wysłał w ataku na szaniec, by obrócić na usługi Francji ten zapał i dzielność. Taki to człowiek w interesie pewnego stronnictwa, okrutnie, a bezużytecznie śmierć siał dokoła siebie. Dokąd roznamietnienie polityczne zawiodło jednostkę rozumną i dzielną: do takiego wybryku okrucieństwa i podłości!

— Macie go w rękach? — zapytał Bonaparte głosem strasznym.

— Jeszcze nie. Jest to kwestią kilku godzin zaledwie. Będę go miał, nim zajdzie jutro. Wiem, gdzie go szukać, jak dostać.

— Lecz ukryte sprężyny? Tacy, jak Jerzy, jak Riviere, Polignac, no i książęta, którzy wydają bratobójcze rozkazy, tym nic nie będzie? Niechże się strzegą! Będę miał kiedyś tego dosyć i mogę puścić się nawet za granicę kraju, by dostać jednego z tych Burbonów, postawić przed sądem wojskowym i rozstrzelać natychmiast!

W gwałtownym przystępie gniewu wziął kapelusz ze stołu i rzucił go o ziemię z wściekłością. Przechadzając się ogromnymi krokami popchnął kapelusz nogą, aż w róg pokoju, jak gdyby tem ulżył swym poszarpanym nerwom. W tej chwili wszedł Bourienne z portfelem pierwszego konsula. Widząc kapelusz na ziemi, podniósł go, wyprostował i odezwał się do Bonaparte'go:

— Rada stanu zebrała się już i oczekuje generała.

— A zatem, obywatelu Fouché — odezwał się Bonaparte już uspokojony — weź się do dzieła, nie tracąc ani chwili i donoś mi zaraz o wszystkim, czego się dowiesz. Nic mię obecnie tak nie obchodzi, jak ta sprawa.

Wziął z biurka tabakierkę, odprawił Fouché'go i wyszedł z sekretarzem.

Pod błękitnym Kołpakiem, po dobrym zaczęciu dnia pomyślnym transportem Saint Régeant'a na ulicę du Dragon, czas schodził na zajęcia codziennych, dla ludzi szarpanych niepokojem, zbyt banalnych. Lerebourg nie mógł się zdobyć na mówienie ze swą żoną o Wiktorze Leclerc. Samo wymówienie tego nazwiska wydało mu się niebezpiecznym, a dokoła niego, nawet wśród domowników, wyłaniała się atmosfera pełna podejrzeń, jak gdyby spiskowicę wniósł pod gościnny dach woń prochu i krwi. Upatrywał nawet u klientów miny niezwykle. Wszędzie wietrzył szpiegów. Zasiadł wprawdzie z żoną do obiadu o zwykłej porze, na codziennych miejscach, lecz żadne z nich jeść nie mogło, obawa ścisła im wprost żołądki. O drugiej Lerebourg wyszedł, nie dla załatwienia interesów, jak każdego dnia normalnego, lecz dla zasięgnięcia języka. Zszedł do café Lamblin, gdzie spotkał kilku znajomych.

Wszyscy oburzeni byli wypadkiem, zwłaszcza budziła grozę śmierć dziewczeczki z suteryny.

— Pomyślcie tylko, jak dziko okrutny musiał być ten człowiek, skoro pozwolił zbliżyć się dziecku do konia, wiedząc, iż grozi mu rozszarpanie w kawałki! Cwiertowałbym takiego zbrojnego. Stojąc wobec tak potwornej zbrodni, musi się żałować, że minęły czasy tortur średniowiecznych.

Istotnie — słabość Saint Régeant'a, który odwlekał chwilę wybuchu, by dać dziecku możność uciekać z życiem, uratowała Bonaparte'go. I ten właśnie Saint Régeant stał się przedmiotem powszechnej nienawiści. Lerebourg, któremu nie przebrzmiało w uszach biadanie Leclerca nad losem niewinnej ofiary, biadanie też pełne, ze smutkiem słuchał, jak przyjaciele wzywali kary na mordercę.

— Słysząc, że Bonaparte ma już dość ciągle powtarzających się spisków, przywróci represje na terrorystów, którym nie dość krwi już przelanej, którzy jej wciąż spragnieni.

— Odzywają się inne głosy, jakoby szuani chcieli obalić rząd obecny, a przywrócić monarchię. Przeciagnęli na swą stronę pułki załogi paryskiej, które miały iść z nimi ręką w rękę.

— Istotnie, gdyby pierwszy konsul zginął...

— Któż ująłby wówczas ster rządu?

— W każdym razie nie Józef, brat jego.

— Raczej Lucyan, który przy ostatnim przewrocie dowiódł wielkiej energii.

— Lecz cóż znaczą wszyscy ci ludzie bez Bonaparta?

— Nic! Bez Bonaparta nie byłoby nic, krom — anarchii; wyjściem może być jedynie dyktoryjat, lub Burbonowie.

— A wówczas likwidacja rachunków z rojalistami? Nie, raczej niech nam niebo zachowa Bonaparta! Bodajby go nazwali konsulem dożywotnim, byśmy spokojnie odetchnąć mogli nareszcie!

— Lecz kto wie, czy policja nie wpadła na jakiś ślad, który mógł być wskazówką co do winowajców.

— Dubois rozesłał podobno na prowincję najsprawniejszych agentów.

— A Fouché.

— Tego nikt nie przeniknie. Poróżnił się z pierwszym konsulem... Trzyma się na uboczu.

— Dowodzi to, że gotuje się do kroku doniosłego.

Wówczas, gdy Lerebourg dowiadywał się z niepomierne strapieniem o gwałtownym oburzeniu ludu ra sprawcę zamachu, żona jego rozgorączkowana, zamknęła się w swoim pokoju, by zdala od zaciekawionych spojrzeń dać folę zgnębieniu i boleści. Leżała od godziny na sofie i zmuszała się do niemyślenia; wtem do drzwi zapukano delikatnie i weszła pokojówka:

— Jakiś pan przyszedł z interesem do pani...

— Niechaj się zwróci do panien sklepowych.

— On chce mówić z samą panią...

Emilia podniosła się nagle ożywiona:

— Któż jest ten obywatel?

— Człowiek młody, elegancki, bardzo grzeczny.

— Cóż robić! Wprowadź go do biura mego męża.

Poprawiła włosy, podpięła je wstążką i przeszła pełna trwogi do przyległego pokoju. Czekał tam sekretarz Villiers, spokojny i ugrzeczniiony.

— Proszę, obywatelko, o przebaczenie, że nalegałem na widzenie z nią samą... Mam bowiem polecenie ministra Fouché prosić obywatelkę, by się doń pofatygowala...

— Do ministra policji! — zawołała Emilia.

— Nie, obywatelko — sprostował miękko Villiers — nie do ministra policji. Do obywatela Fouché... Nie przybyłem tu w charakterze urzędowym, lecz jako osoba czysto prywatna. Sprawa ta, o ile wiem, tyczy waszego przedsiębiorstwa... W każdym razie, obywatel Fouché sam wyjaśni.

— Czy mam się wybrać natychmiast?

— Proszę bardzo.

— Sama jestem w domu. Mąż wyszedł.

— Nie dalej, jak za godzinę, pani z pewnością wróci. Konie czekają przed domem.

— Czy mam udać się w towarzystwie pana?

— Tak będzie lepiej. Mogę wprowadzić panią bez meldowania się. Pójdzie to prędzej.

— Czy mogę napisać słówko do męża?

— Po co? Wróci pani zapewne przed nim.

— Obywatelu, mówcie otwarcie, że mię aresztujecie.

— Cóż znowu? Czyżby obywatelka poczuwała się do winy?

Emilia oprzytomniała, i zdała sobie sprawę, że sama gubi się niebacznie słowy. Rozpacz ją ogarnęła. Twarz powlekła się trupią bledzią. Piękne oczy utonęły w oczodołach i ściemniały.

— Przejdę po płaszcz i kapelusz.

— Pokojowa tu je przyniesie.

Nie śmiała sprzeciwiać się, zadzwoniła i zarządziła:

— Gdyby mąż wrócił przedemną, powiedz, że wyszłam na chwilę.

Zwróciła się do Villiers'a i zebrała siły na myśl o Saint Régeant'cie, którego należało ratować i o mężu, którego chciała oszczędzić, wreszcie o sobie samej i wyrzekła spokojnie:

— Chodźmy więc. Przechodzić przez sklep nie będziemy. Mamy schody wprost z mieszkania prywatnego.

Tymi samymi schodami schodził tegoż ranka Saint Régeant. Emilia zdała sobie sprawę, jak niewiele czasu potrzebował Fouché, by wysledzić tajemnicę i niepokój jej wzmógł się jeszcze.

Istotnie, minister z każdą chwilą zdobywał nowe, niesłychanie ważne szczegóły. W pewnej winiarni obok rogatki Vaugirard usłyszał przebrany po cywilnemu agent, jak pewien ogrodnik mówił do towarzysza od kieliszka:

— Rozumie się, że wiem, skąd pochodził siwek i wózek na ulicy Saint-Nicaise.

— Ba!

— Naturalnie! O ile koń ten miał szparę w prawym przednim kopycie i wrzód powyżej pęciny, to znam go dobrze.

Agent ten właśnie zbierał resztki wózka i konia i był obecny przy szczegółowych oględzinach. Przednie nogi konia nosiły niewątpliwie te szczególne znaki, o których była mowa. Zasyłane słowa sprawiły, że u wyjścia z winiarni agent przytrzymał ogrodnika, wpakował natychmiast do dorożki i powiózł do ministerium. Tam przyciśnięty do muru, nie tylko moralnie, lecz i fizycznie, wyśpiewał nieborak wszystko, co wiedział. A były to rewelacje bardzo doniosłe. Niejaki Franciszek, odzwierny kłatoru żeńskiego przy ulicy Notre Dame des Champs, kupił u niejakiemu Polveau, wyplatacza krzesel, stary wózek i kulawego konia za sto pięćdziesiąt liwrow pod warunkiem, że odbierze je, kiedy mu się spodoba. I rzeczywiście dnia wczorajszego rzeczony Franciszek objął w posiadanie nabyte rzeczy. Z tem zwierzył się imć Polveau ogrodnikowi, niezmiernie rad, iż udało mu się pozbyć starego gratu i konia wywołki, zwłaszcza, że światnie na nich zarobił i mógł je zastąpić odpowiedniejszymi. Jeden z agentów udał się niezwłocznie do Vaugirard, by aresztować niefortunnego sprzedawcę; drugi zaś popędził do wspomnianego kłatoru, celem upewnienia się co do osoby owego odzwiernego Franciszka. Tak tedy od pierwszych kroków powodzenie sprzyjało usiłowaniom Fouché'go: ledwo wyciągnął rękę, straszną, groźną, wpadł w nią zasadnicze wiadomości, które mogły doprowadzić do rychłego wykrycia prawdy.

W chwili, gdy Villiers zamykał obywatelkę Lerebourg w swem biurze, by ją stawić przed szefem, ten przebiegał myślą kolejny bieg mających nastąpić zdarzeń i doznawał gorzkiego zadowolenia.

XIV.

— Proszę wejść, obywatelko — rzekł do Emilii młody Villiers, otwierając drzwi, łączące go z pokojem ministra. — Proszę nabrać nieco spokoju, wyglądasz pani istotnie na przestępcę, tak się trwożysz.

Pani Lerebourg podniosła ku sekretarzowi wzrok pytający. Był równie uśmiechnięty i uprzejmy, jak w drodze dorożką. Odzyskała trochę pewności. Skupiła myśli i weszła. Przed dużym, papierami pokrytem biurkiem, siedział Fouché, dumając nad rozłożonym stosem aktów. Nie patrząc, zapytał:

— Obywatelka Lerebourg?

— Tak, obywatelu ministrze — odpowiedział Villiers.

— Dobrze. Niech obywatelka siada. Za chwilę służę.

Villiers wyszedł. Emilia zasiadła w fotelu i ukradkiem przyglądała się straszemu człowiekowi, od którego zależał los Saint Régeant'a. Przerzątała ją kanciasta głowa, żółte oblicze, zgrzybiałe czoło a zwłaszcza oczy ponure, bez brwi i czernione. Myślała: twarz tego człowieka — to księga jego życia. Ta brzydota, jakby wołała krwi. Na całej ludzkości musiał szukać pomsty za swe fizyczne uposiedzenie. Zło będzie siał dokoła, aż do ostatniego tchnienia i w niem szukał zadowolenia. Chłubił się okrucieństwem. To potwór. — I w tejże chwili, gdy on się odwrócił, unikając spojrzeń wnie, i zapytał: — Pan... jest pan de Saint Régeant?